Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 45.

dnia 9. Października 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Dokończenie.)

Wyprzedźmy ich teraz, by zobaczyć, co się z Rózią stało.

Ryszard czyniąc zadość jej życzeniu, zaprowadził ją prosto do klasztoru OO. Bernadynów i zostawił w małej salce na dole, gdzie zakonnicy gości swoich przyjmują. Sam pobiegł na górę do ojca Samuela. Staruszka zastał jak zwykle nad mapą i z chorągiewkami. Usłyszawszy jak się proces skończył, bardzo się ucieszył i młodego człowieka serdecznie uściskał, lecz gdy ten mu powiedział, że na dole czeka panna Róża Stern, zafrasował się i zapytał:

— A pan nie wiesz, czego ona chce odemnie?

— Nie wiem ojcze dobrodzieju.

Nie w smak mu była ta wizyta, lecz musiał zejść, gdyż tak obowiązek nakazywał. Ryszard zatrzymał się na korytarzu.

— Ojcze! — Rózia zawołała, do wchodzącego staruszka przybiegając — ratuj mnie, ratuj!

— Cóż mogę uczynić dla pani?

— Jestem żydówką, a nie chcę nią być, nie chcę! Wychowałam się na pensji katolickiej, nauczyłam się kochać waszego Boga, który ludzkość kocha, w cichości mego serca uciekam się zawsze do czystej Matki-Dziewicy, ilekroć byłam w mieście, chodziłam do waszych kościołów, słowem już oddawna jestem chrześcijanką z przekonania, czemuż zatem mam z własnem sumieniem walkę staczać i prawdzie kłam zadawać?!

— Bardzo to pięknie, pani... snać cię oświecił Bóg miłosierny... ale cóż ja tu mogę?

— Ach! wszystko ojcze możesz, wszystko! Wszak jesteś kapłanem.

— Rozważ jednak pani, że nasz kościół do świętej katolickiej wiary nikogo nie zmusza...

— A przecie ja dobrowolnie chcę ją wyznawać.

— Tak... prawda... lecz ojciec pani jest człowiekiem możnym i wpływowym, mógłby nam więc zarzucić, żeśmy podstępem do tego panią skłonili... Toby zaszkodziło klasztorowi...

— Boże! Boże! czyż względy światowe i tu taką moc mają?! Ależ ja ciebie ojcze błagam, nie opuszczaj sieroty, która z całą ufnością do was się zgłosiła!

Ojciec Samuel jak zawsze chwiejny i na wszystko uważający, nie wiedział teraz co odpowiedzieć.

— Tak... prawda — zaczął bąkać. — Trzeba będzie żebyś się udała do panien Sakramentek... Tam miejsce najodpowiedniejsze... dam pani nawet list polecający...

Dziewica rozpaczliwie ręce załamała. W tejże chwili z łoskotem drzwi się otwierają i wpada pierwszy Ryszard, za nim garbus i dawny mieszkaniec Ekonomówki. Na ich twarzach radość najwyższa.

— Rózio! Tyś chrześcijanką! — Ryszard zawołał, ramiona ku niej wyciągając.

— Ach! — krzyknęła i omdlona padła mu w objęcia.

Ojciec Samuel widząc to usta otworzył. Mury klasztorne dotąd nie widziały takiej sceny.

ROZDZIAŁ XIV.

ZWYCIĘSTWO „TERAŹNIEJSZOŚCI“.

Dwa lata ubiegły.

Za miastem, w uliczce wąskiej, która łączy się z polami, a przy której stoją małe domki przedmieszczan, widać w ogródku dworek nieco okazalszy. Do tego ustronia gwar miejski nigdy nie zalatuje, powietrze czyste tu i świeże, kto do ludzi nie tęskni, może w tej części miasta wieść życie ciche.

Wewnątrz pokoiki jak pieścidełka. Urządzenie w nich skromne, ale wszędzie taka czystość, taki wdzięk do koła, że gdy tu wejdziesz, mimowolnie szukasz wzrokiem czarodziejki, która zwyczajne mieszkanie ludzkie umiała zamienić w siedzibę aniołów...

Z narożnego pokoju dolatują tony pianina. To ona gra mężowi jedno z arcydzieł Chopena, a mąż słuchając wpatruje się przez okno otwarte w czysty lazur nieba, po którym ostatnie jaskółki szybują. Mimo że już wrzesień, powietrze łagodne i ciepłe, nawet drobne owady brzęczą jeszcze u okna, żegnając ostatnie w tym roku dni pogodne. On siedzi w dużem krześle poręczowem. Twarz jego jeszcze młoda, chociaż bardzo chuda i zbolała; wąsy i broda czarne, ale włosy jak mleko białe, oczy zapadnięte, i na czole między brwiami bruzdy głębokie. Skończył ledwie lat 30, a wygląda jak starzec! Oto co świat ma dla ludzi, którzy nie schlebiają jego słabostkom...

Żona grać przestawszy, obok męża usiadła. Prześliczna to jeszcze kobieta, jak róża w pełnym rozwoju, ale na listkach tego kwiecia cudownego, widać już mrozu ślady... Jej twarzyczka blada... w oczach żałoba... usta uśmiechają się, lecz nie tym uśmiechem, który niebo radości roztwiera, tylko tym, który zakwita na mogile wszelkich nadziei...

Wziął jej rękę i do ust przycisnął.

— Dziękuję ci — rzekł — za tę muzykę prześliczną... Ona mnie rozwesela i sił mi dodaje... Dziś czuję się nawet znacznie lepiej... mam nadzieję że jutro lub pojutrze wyjdę do miasta. Piękny lekarz, który od miesiąca myśli o sobie nie o pacjentach!...

— Nie zrywaj się mężu przedwcześnie! — żona zaprotestowała, na jego piersi twarz ukrywając. — Ty potrzebujesz dłuższego wypoczynku. O twoich pacjentach inni lekarze pamiętają.

Nic na to nie odpowiedział, jeno cicho westchnął. Po chwili przemówił:

— Cóżbym ja był począł mój aniele, gdybym był ciebie nie spotkał?!... Prawda, żem dużo wycierpiał, ale te dwa lata, przy twym boku spędzone, kazały mi wszystko przebyte puścić w niepamięć... Dla ciebie jabym się nie lękał raz jeszcze...

— Nie kończ Ryszardzie, nie! bo ani ty byś wytrzymał, ani ja! Czyż sądzisz, że każdy cios, którym w ciebie godzono, w sercu mojem nie odbijał się echem stokrotnem? O! mój drogi! Od pierwszej chwili, gdym ciebie zobaczyła, zdawało mi się, żem spotkała dawnego znajomego, istotę, z którą wespół żyłam w jakichś światach dalekich a nieznanych ducha, który dopiero z moim duchem jednę całość tworzy! I nie zawiodłam się Ryszardzie!... Czyż na świecie jest małżeństwo, które by w większej żyło harmonji? Czyż na ziemi jest kobieta odemnie szczęśliwsza? Ja już nie mam żadnych pragnień, żadnych, tylko żebyś ty był zdrów mój drogi.

— Będę... będę — odpowiedział, jej główkę do swej piersi przyciskając.

Chwilę ją tak trzymał i spojrzeniem głębokiem wpatrywał się w niebo lazurowe, jakby pragnął zgłębić tajemnice, które ono zasłaniało; potem żonę w głowę pocałował i łza duża, może ostatnia z wyschniętej oka krynicy, spadła na jej warkocze.

W tej chwili, w znacznem oddaleniu, dał się słyszeć huk silny, po nim drugi, trzeci. Powietrze zadrżało i muszki u okna przestraszone, cofnęły się w głąb pokoju.

— To z dział biją — Ryszard pierwszy przemówił. — Na śmierć zapomniałem, że dziś cesarz przyjeżdża... Zapewne pociąg stanął już na dworcu.

— Prawda, że przyjeżdża — żona potwierdziła — służba nasza już od rana się rozbiegła. Jedna tylko Marysia w domu została.

— Dobra dziewczyna!

— Bardzo dobra... To mnie przynajmniej cieszy — dodała figlarnie — że ten posag, który ci wniosłam, za swój dobry apetyt, dobrem sercem ci odpłaca... Doprawdy nie wiem, czy Marysia ma lepszy apetyt, czy też *Neptun*.

Mąż żartem rozweselony swobodnie się uśmiechnął. Po chwili jednak zapadając w dawną melancholję rzekł:

— Ale ty dziś wyjdziesz do miasta z ojcem lub Zygmuntem?... Warto przecie, żebyś zobaczyła przyjęcie, jakie cesarzowi zgotowano.

— Nie Rysiu, nie, ja ciebie samego nie zostawię!.

— No, no, zobaczymy... Przecie mnie dziś znacznie lepiej!

* * *

O tej samej godzinie, przy odgłosie muzyki i wśród dział huku, stanęła przed dworcem kolei lokomotywa w kwiaty ustrojona, która przywiozła do Galicji cesarza austryjackiego, Franciszka Józefa I.

Monarcha wysiadł i wstąpił na peron, ozdobiony chorągwiami, herbami państwa i pojedyńczych krajów koronnych, liśćmi wawrzynu i tysiącem gości dostojnych.

Tam widać jaskrawe kolory mundurów i liczne ordery na piersiach jenerałów; na boku złote kołnierze urzędników i ich twarze na pół wystraszone; bliżej w półkolu różnobarwnem, stoi szlachta polska, buńdziuczna, dumna i szczęśliwa, że na ziemi swych ojców ujrzała nareszcie monarchę, z którego nazwiskiem łączy swoje szczęście, a z którego państwem związała losy swojej ojczyzny.

— Wiwat! niech żyje! — zagrzmiał okrzyk głośny, poczem wystąpił mąż poważny i po polsku w te słowa przemówił:

— Najjaśniejszy Panie! Odłam wielkiego narodu i potężnego niegdyś państwa, wita Cię jako zbawcę swego, ufając, że dla dobra swojej monarchji i dynastji, sięgniesz mieczem zwycięskim po ujście Wisły i Dniepru wody! Jeźli rozkażesz Najjaśniejszy Panie, miljon nas zerwie się do broni, aby tron Twój wznieść tak wysoko, jak dotąd nie stał jeszcze tron żadnego monarchy ziemskiego! Pod twojemi rozkazami zwyciężymy, a jeźliby nam Bóg nie pobłogosławił, chętnie już za to samo dla Ciebie zginiemy, żeś na nas spojrzał okiem łaskawem i obdarzył nas konstytucją razem z autonomją!

— Jestem przekonany, — odrzekł cesarz po niemiecku, — że kraj mój koronny, który się Galicją nazywa, będzie zawsze wiernym mojej dynastji.

— Wiwat! Niech żyje! — zagrzmiały nowe okrzyki, i cesarz pierwszy, za nim szlachta, jenerałowie i urzędnicy, ruszyli przez peron.

Kto jest jednak ów mężczyzna w kontuszu karmazynowym z guzami brylantowemi, w błękitnym żupanie, przy karabeli nabijanej drogiemi kamieniami, w rysim kołpaku z piórem, na którem brylantów jak gwiazd na niebie? Czy to hetman jaki, pieśnią czarodzieja z grobu wywołany?

To Jakób Stern.

Przysięgli we Wiedniu, nie mając przeciw niemu dowodów dostatecznych, uwolnili go prawie jednogłośnie, i dziś właściciel Ludaczowa, przyjmuje monarchę z rodową szlachtą polską, jak równy z równymi. Na jego twarzy szczęścia zachwyt. Z początku, gdy mu powiedziano, że Rózia nie jest jego córką, bardzo się rozgniewał, wszakże gdy mu to sama żona potwierdziła, rzucił przekleństwo tej na głowę, którą lat tyle za swoje dziecię poczytywał, i natychmiast z Sarą się rozwiódłszy, poślubił siostrę tego samego Salamona Rosenzweiga, który niegdyś miał być jego zięciem. Teraz niczego się już nie lęka, a wszystkiego może się spodziewać...

* * *

Ryszard Gozdawa był od dwóch lat lekarzem kolejowym. Mimo, że Żylewicz dotrzymał zobowiązania i w *Teraźniejszości* potwarz odwołał, nasz przyjaciel nie chciał i nie mógł wrócić na dawną drogę. Dłuższa przerwa w wydawnictwie *Przyszłości* zrujnowała go materjalnie, boleści zaś przebyte, podkopały jego zdrowie. Oddawna niestety zrobił na sobie smutne postrzeżenie, że ból serca, na który z początku uwagi nie zwracał, przeistoczył się pod naciskiem tylu doświadczeń, w chorobę nieuleczalną i straszną, która każdej chwili mogła go zpiorunować. Odkąd powziął to przekonanie, przestał żałować, że go Bóg rodziną nie obdarzył i nad tem tylko przemyśliwał, jak żonie i ojcu przyszłość zabezpieczyć. Wprawdzie pan Władysław Gozdawa na Podolu ciągle jeszcze gospodarzył, lecz syn wiedział, że ojciec goni ostatkami.

Podczas gdy Ryszard zdala od świata na chleb pracował, nie pragnąc większego szczęścia nad to, które znalazł u boku żony kochającej, w świecie rozgrywały się ważne wypadki.

Rosja pokonała Turcję, Austrja zajęła Bośnię i Hercogowinę. W ślad za tem, we Wiedniu nastąpiła zmiana gabinetu, Niemcy centraliści ustąpili, poczem ster rządu ujęli w ręce autonomiści, między którymi Polacy i Czesi rej wiedli. Zdawały się zatem ziszczać przepowiednie tych, którzy mówili, że Austrja przestawszy być państwem niemieckiem, przeistoczy się we wschodnio-sławiańskie.

Cisza na Wschodzie nie trwała jednak długo. Austrja nie zajęła jeszcze silnych stanowisk w świeżo zabranych prowincjach, a do Europy

przyszła znów wiadomość, że Czarnogóra gotuje się do wojny, że Grecja zbroi się z wielkim pospiechem, że Rumunja szuka sprzymierzeńców, że Serbja pomoże sąsiadom, a Bułgarja i Rumelja zbierają broń i amunicję. W ślad za tem z Wiednia doniesiono, że cesarz przyjedzie do Galicji.

Zapał był teraz olbrzymi. Politycy, których *Teraźniejszość* była organem, na ucho sobie mówili:

— Ponieważ, odkąd Austrja na Wschód poszła, starcie między nią a Rosją prędzej lub później musi nastąpić, przeto nie ulega wątpliwości, że aby być silniejszą, Austrja zechce teraz oprzeć się na Polakach. Dla tego to cesarz do nas przyjeżdża... My mu pomożemy, a on za to całą Polskę zagarnie pod swoje skrzydło opiekuńcze.

Tak sobie szeptali i w to wierzyli, mimo iż głośno — aby uchodzić za polityków wytrawnych — utrzymywali, że zapał, z jakim monarchę przyjmują, odnosi się jedynie do jego własnej osoby, mianowicie za to, że Galicji oddał jej język i teraz nie pozwala, by ją Niemcy germanizowali.

Ryszard czytał pilnie gazety, słuchał co ludzie mówią i głową potrząsał. Wieczorami odwidzał go Henryk Dobrzyński, któremu w szkole kolejowej wyrobił posadę nauczyciela. Z tym rozmawiał czasem o polityce, lecz nierównie chętniej z nim, z żoną i z dziadkiem grywał wista. Karty go rozrywały.

Na wieży ratuszowej wydzwoniła właśnie 12ta w południe, gdy garbus wszedł do pokoju.

— Cóż tam słychać? — Ryszard żywo zapytał.

— Całe miasto na nogach! Ulice, któremi cesarz jechał, wspaniale chorągwiami przystrojone, ciekawi siedzą na dachach i kominach. Ludzie, których od piętnastu lat nie widziałem, zjechali się jakby na czyj rozkaz. Na ulicach tłok, jak na jarmarku.

— A jak przyjęcie wypadło?

— Bardzo pięknie! Szlachciców było w kontuszach co niemiara, a wszystko aż kapało od złota i srebra. Rada miejska wystąpiła także w kontuszach i przy karabelach, ktoby myślał, że wszyscy nasi senatorowie z grobu powstali. Jak Galicja Galicją, nic podobnego nie widziano.

— Widocznie są bogaci, kiedy tak występują, i zapewne wierzą, że Austrja Polskę zbawi, skoro tak się cieszą.

— Przepraszam cię Ryszardzie... wszak nie powiedziałem, żeby się cieszyli.

— Jakto, w masach nie ma radości?

— Ani znaku mój drogi! Jest ciekawość, gapienie się, więcej nic...

— A mówiłeś z kim?

— Zagadywałem kilka osób, lecz nie usłyszałem nic takiego, coby na uwagę zasługiwało. Ludzie pozjeżdżali się ze stron najbardziej oddalonych, by coś zobaczyć i wśród tej biedy trochę się zabawić.

— Więc powiadasz, że w masach nie ma zapału?— Ryszard podchwycił. — A wiesz Henryku czemu? Bo w nich obudził się już instynkt, który im mówi, że nie ztąd błyśnie nam gwiazda zbawienia!... Cesarz Franciszek Józef jest człowiekiem rzadkiej prawości i wielce sympatycznym, jemu też osobiście Galicja wdzięczną być powinna, że ją przynajmniej od moralnej przewagi Niemców uwolnił, ale za tem jeszcze nie idzie, byśmy z losami jego dynastji i monarchji mieli wiązać nasze losy... Wszak on może tylko to uczynić, co leży w interesie jego dynastji i monarchji, awanturowanie się zaś dla Polski, nigdy nie będzie w nim leżało. Austrja myśli o sobie, i nikt jej tego za złe brać nie może, a my żyjmy dla siebie.

— Więc sądzisz, że ten przyjazd żadnych za sobą skutków nie pociągnie?

— Chyba wręcz przeciwne zamierzonym... Nareszcie ślepi nawet przejrzą i zrozumieją, że Austrja jedynie dla tego z nami kokietuje, by kiedyś, gdy na Wschodzie zacznie myśleć o nowych zdobyczach, rzucić nas jak mysz kotowi, Rosji na pastwę, by ją zaprzątnąć... Zbyt jednak często wyciągaliśmy już innym z pieca kasztany naszemi palcami, byśmy to raz jeszcze mieli powtórzyć. Czas mieć rozum!

Garbus nic na to nie odpowiedział. Chwilę milczenie panowało, potem Ryszard znowu przemówił:

— Mam nadzieję, że zostaniesz u nas na objedzie... Prócz ojca, będzie także Zygmunt Grabowski, który kupiwszy sobie wioskę, kieruje się teraz na rolnika. Po południu wyszlę z nim żonę do miasta... biedaczka niech coś zobaczy... od tylu tygodni siedzi przy mnie jak siostra miłosierdzia... Jak tylko wyjdą, ty mój Henryku pojedziesz natychmiast dorożką do ojca Samuela, i sprowadzisz go tu z Przenajświętszym Sakramentem.

— Ryszardzie, co mówisz?

— Nie dziw się mój drogi... Lekarz powinien

wiedzieć, jak się czuje... Mnie niby to dziś lepiej, lecz wiem, że to ostatnie moje chwile! Nie płacz Henryku, bo mi żonę przestraszysz... ona się niczego nie domyśla... Jesteśmy przecie mężczyźni, powinniśmy zatem umieć żyć wśród walki i bez jęku umierać. Mój testament oddawna przygotowany... co mam, jej zostawiam, a ona o moim biednym ojcu nie zapomni. Zresztą ona mnie nie przeżyje długo... W jej piersiach śmierć także się rozsiadła... Wielka jeszcze łaska boża, że rodziny nie mamy!

Głos jego był spokojny, ach! przerażająco spokojny.

— Rysiu! Rysiu! — krzyknął pan Gozdawa, jak bomba wpadając, — ani byś dał wiarę, jaki mnie honor spotkał! Na pojutrze sercuńciu, jako delegat mego obwodu, no i jako karmazyn mosterdzieju, jestem zaproszony do stołu cesarskiego. Jak moi sąsiedzi o tem się dowiedzą, pochorują się z zazdrości.

Mówiący był rozpromieniony. Na sobie miał wspaniały kontusz, przy boku karabelę w jaszczur oprawną, która wisiała u pasa słuckiego, w ręce trzymał kołpak sobolowy z czaplem piórem.

— Gratuluję ojcu...

— Pewnie że mi można gratulować... Wszak to mosterdzieju zaszczyt nie lada! I niech kto teraz powie sercuńciu, że Polski nie będzie! Przecie gdyby cesarz nie miał zostać królem polskim, to by nam nie pozwalał w kontuszach obok siebie zasiadać. Dawniej mosterdzieju, jak Austrja o tem nie myślała, nie tylko za karabelę, nawet za wąsy do kozy nas wsadzała. Hej! Hej! sercuńciu, inne to dziś czasy. To też mi nie żal, że aby godnie przyjąć Najjaśniejszego pana, za przykładem moich sąsiadów sprzedałem Abramkowi za pół darmo ostatnich sto par. Ale ciebie to niech nie martwi sercuńciu, stratę w całości ja sam z mojej części pokryję.

— Ciekawym jednak, kto w tej wojnie, którą ojciec przewiduje, poprowadzi armję austrjacką... Ostatnie manewry wykazały, że jak zawsze Austrja i teraz nie ma jenerałów, a jej intendentura taka zła, że nie może być gorsza.

— Manewry sercuńciu swoją drogą, a wojna swoją! Jak przyjdzie do wojny mosterdzieju, to przecie my ją wesprzemy. Ja sam jestem gotów siąść na armatę i pojechać choćby na koniec świata.. Ale, ale, zapomniałem jeszcze coś ważnego ci powiedzieć sercuńciu. Na pojutrze jest także zaproszony do stołu cesarskiego pan Wyżyński, boć on najgłośniej dzwonił na to kazanie. Jaka szkoda Rysiu, żeś należał do innego obozu! I ciebie był by ten honor spotkał.

— Gdy polityka *Teraźniejszości* zwycięża, trudno kochany ojcze żądać, by zaszczytów ci dostępowali, którzy dla *Przyszłości* pracują!...

— Przyszłość, przyszłość... kto tam wie mosterdzieju co będzie jutro!

— Czy na polskie przemówienia, cesarz po polsku odpowiadał?

— Uchowaj Boże sercuńciu! Czy to on Polak, czy co?

— A jak polskim królem zostanie?

— Nauczy się wtedy mosterdzieju! Przecie nie święci garnki lepią.

— Mnie się zaś zdaje, ojcze kochany, że on jedynie dla tego po polsku nie odpowiadał, mimo że naszym językiem dość dobrze włada, iż tem chciał nam dać do zrozumienia, że nas uważa nie za Polaków, lecz za Austrjaków...

Pan Gozdawa wypatrzył się na syna lecz nic nie odpowiedział.

* * *

Trzeciego dnia po przyjeździe cesarza, o godzinie piątej po południu, środkiem jednej z mniejszych uliczek, posuwał się zwolna skromny orszak pogrzebowy.

Przodem, w asystencji dwóch Bernardynów, szedł ojciec Samuel i cicho modlitwy odmawiał. Za nim toczył się karawan dwukonny. W trumnie dębowej, na której świeże kwiaty leżały, spoczywało snem wiecznym serce wielkie i tkliwe, które pękło z boleści.

Za trumną Zygmunt Grabowski prowadził wdowę w ciężkiej żałobie. Szła bezwiednie, automatycznie, z oczyma nie w ziemię, lecz w trumnę wlepionemi, w niej bowiem to wszystko złożyła, co na ziemi najgoręcej ukochała...

Obok niej zgarbiony, trzymając w ręku kołpak czarnym kirem okryty, kroczył w polskim stroju pan Władysław Gozdawa, ojciec nieboszczyka. Z wszystkich gromów, które przez życie w jego pierś uderzyły, ten chyba był najstraszliwszy. To też na wiadomość o śmierci syna, która przedwczoraj nagle nastąpiła, padł jak piorunem rażony, i ledwie nazajutrz przytomność odzyskał. Ci co przy nim byli, poznać go nie mogli, tak go ta boleść zmieniła. Błędnem okiem wodząc w koło, do nikogo słowa

nie przemówił, dopiero gdy wdowę zobaczył, przycisnął ją do serca i głośnym płaczem wybuchnął. Teraz idzie z głową zwieszoną, istny starzec nad grobem. Przy nim widać garbusa, na końcu Marysię i Marcina. Między nimi idzie *Neptun* z ogonem spuszczonym.

Orszak postępował najmniej uczęszczanemi uliczkami, by jego widok nie czynił przykrego wrażenia na tych tłumach, które chciały śmiać się i weselić. Gdy do placu się zbliżał, którego nie mógł wyminąć, z kamienicy narożnej wyszedł pan Wyżyński. Zaproszony do stołu cesarskiego, chciał właśnie wziąć remizę i tam pojechać. Kondukt żałobny drogę mu jednak zamknął. Niemile tem tknięty, spojrzał na trumnę, na szlachcica w stroju polskim, na wdowę i resztę smutnego orszaku. Coś go tknęło... jakby się czegoś domyślał...

Postąpił kilka kroków.

— Kogo to chowają? — zapytał Marcina.

— Pana Ryszarda Gozdawę, tego co to gazetę wydawał... Źli ludzie tak biedaka zmordowali, że aż umarł. Panie świeć tam nad jego duszą, ale ciężka kara pewnie ich za to nie minie!

Pan Wyżyński zdjął czapkę i zamiast tam się udać, gdzie go duma wzywała, powodując się sercu, któremu ani mógł, ani chciał się oprzeć, ruszył za konduktem. Sumienie głośno mu mówiło, że temu, który z nim tak uczciwą bronią walczył, powinien ostatnią oddać usługę.

Przechodnie widząc redaktora *Teraźniejszości*, zaczęli łączyć się z orszakiem, który powoli rósł jak rzeka, licznemi przypływami zasilana, póki nie rozlał się strumieniem, liczącym głów tysiące. Na cmentarzu ledwie mała jego cząstka mogła zmieścić się obok grobu świeżo otwartego.

Gdy trumnę postawiono, na którą wdowa i ojciec z głuchym jękiem upadli, pan Wyżyński podniósł się blady i drżący, i ręce do nieboszczyka wyciągając, w te słowa przemówił:

— Duchu czysty i szlachetny, który padłeś ofiarą swoich przekonań, ja dopiero teraz widzę, jak ciężko przeciw tobie zawiniłem, pozwoliwszy złym ludziom szarpać twoje dobre imię! Staliśmy na dwóch krańcach, na dwóch drogach odmiennych, i jam był pewny, że moja droga prawdziwa, że tylko po niej krocząc, dojdziemy do zbawienia ojczyzny!... Dziś atoli niepojęta jasność moją głowę oświeciła i ja błagam ciebie o przebaczenie! Bo i któż z nas pewny, że prawdę zbadał? Tyś uległ, boś był sam jeden, ja jednak mimo żem zwyciężył, i to dziś właśnie, kiedy bym najbardziej radować się powinien, zaczynam niepokoić się i trwożyć, człowiek bowiem wiecznie błądzi i nikomu nie wolno powiedzieć, że po za tem, co sam głosi, nie ma zbawienia. A jeżeli nie jam był na drodze prawdziwej, lecz ty? Dla tego raz jeszcze błagam cię czysty duchu, przebacz starcowi i proś tam Boga, by mu pozwolił rychło z tobą się połączyć!

To powiedziawszy z płaczem padł na kolana obok trumny nieboszczyka i z pokorą ją ucałował. Przytomni wszyscy uklękli, a sędziwy ojciec Samuel cichym głosem zaintonował:

— *Requiescat in pace*!

Zamiast zakończenia.

U szeroko rozwartych bram nieba, w orszaku duchów przeczystych, siedział Bóg wielki i miłosierny, patrząc na ziemię.

Tam, na Golgocie, konała znowu jedna z tych istot świetlanych, których tak mało na ludzkim globie. Ojciec widząc jego boleść cichą, pogodę, z jaką znosił prześladowanie, i rezygnację chrześcijańską, dał znak swoim Cherubinom, by po jego duszę sami na ziemię zlecieli...

Za chwilę męczennik z doczesnych więzów uwolniony, wrócił na jego łono ojcowskie. Twarz jego była zbolała, acz promieniejąca.

— Widziałem twoje cierpienia synu... Za to teraz będziesz wiecznie szczęśliwy!

— Ach! Ojcze! Tak długo nim nie będę, póki z nią mnie nie złączysz...

Uśmiechnął się Bóg miłosierny i wskazał na ziemię. On spojrzał w tę stronę i na ziemskim swoim grobie zobaczył kobietę w czarnej szacie, modlącą się cicho a gorąco. I wracała ciągle, co raz słabsza, co raz bardziej tęskniąca, aż pewnego wieczora duch jej ciało pożegnał i lotem błyskawicy wzniósł się tam, gdzie brat na nią czekał.

— Siostro! — zawołał — więc się już nigdy nie rozłączymy?

— Ach! nigdy, nigdy mój bracie! — szepnęła w ramiona mu padając.

KONIEC.

Pisałem w Nowem Siole pod Stryjem
w październiku i listopadzie r. 1880.

ZULEIKA.

NOWELLA przez K. H.

(Dokończenie.)

V.

O kilkanaście mil angielskich na północ od Stambułu, w pięknej i żyźnej okolicy, stał wspaniały gmach na szczycie wysokiego pagórka, o stromych, prawie prostopadłych stokach. Ktoby nie szczędził trudu spinać się na górę, aby z bliska przypatrzyć się tej budowie, spostrzegłby na pierwszy rzut oka, że te wzniosłe mury, jak starzec zgrzybiały, już zaledwie zdołały zachować równowagę, bo czasy i burze wyryły w nich niezliczone, głębokie szczeliny, cegły strupieszały, a trawy i mchy porosły w wyłomach i ustroiły zielenią szczyty upadających murów i wieżyc. Widziany zdala, sprawiał jednak ten gmach ze swoją orientalną strukturą na szczycie nieprzystępnego pagórka, dziwnie wspaniałe wrażenie. Kopuły i minarety sięgały dumnie w niebiosa, kontury ciemnych murów obronnych odznaczały się ostro na widnokręgu, a w promieniach słońca błyszczały daleko zdobiące szczyty wież półksiężyce. Muzułmanin okolicznych wsi, spoglądał z rodzajem czci zabobonnej na tę warownię, a gdy ciekawy podróżny zapytał go o nią, odpowiedział z pobożnem skłonieniem głowy, że to był „klasztor tańczących derwiszów“.

— Klasztor tańczących derwiszów. Któż nie słyszał o tych zakładach religijnych na wschodzie, które są jednym z niezliczonych dowodów, do jak szalonych, ohydnych zboczeń doprowadzić może religijny fanatyzm, jak dalece zdrowy rozsądek może być zdeptanym w imię czci boskiej i religji.

W takich klasztorach spędza nędzne swe życie znaczna liczba fanatycznych wyznawców proroka, którzy jako derwisze (mnichy), służbie Allaha się poświęcili. Służbę tę wykonują za pomocą tańców.

O pewnych godzinach schodzą się derwisze w przeznaczonej ku temu sali i poczynają wszyscy razem święty taniec. Z początku zwolna, potem w coraz to szybszych i dzikszych skokach porusza się zgraja piekielnych postaci. Policzki pałają, oczy iskrzą się dzikim fanatyzmem, usta pienią się ze zmęczenia, lecz dalej, dalej bez wytchnienia tańczą i skaczą święci derwisze, aż nareszcie jeden po drugim padają nieprzytomni na podłogę i bez oddechu wiją się w konwulsyjnych drganiach. Oto obrządek tańczących derwiszów, którzy u Muzułmanina uchodzą za świętych i najbardziej przez Allaha ukochanych wyznawców Islamu.

Już słońce poczynało wschodzić i ciemności nocy ustępować szarawemu świtaniu, gdy dwaj towarzysze Achille'a, wiodąc między sobą swoją ofiarę, przybyli do tego klasztoru. Biedny Achille nie mogąc się ruszyć w swoich pętach, z zawiązanemi oczyma, nie widział co się z nim działo. Po ruchach konia tylko spostrzegł, że spinali się na stromą górę. Potem jeden z eunuchów zapukał do jakiejś bramy żelaznej, która dopiero po dłuższem czekaniu się otworzyła; słyszał że zajeżdżali na brukowane podwórze. Jakieś nieznane głosy rozmawiały około niego w niezrozumiałym mu języku, w końcu odwiązano go od konia a gdy ze znużenia o własnych siłach stać nie mógł, uczuł że kilka ramion go porwało i że go niesiono przez jakieś korytarze, aż wreszcie spuszczono na ziemię i posadzono na kamiennej podłodze. Wtedy dopiero wyjęto mu kłębek z ust i odwiązano zasłonę z przed oczu, a po chwili, gdy jego wzrok tak długo w ciemnościach pogrążony, przyzwyczaił się do światła, mógł rozpoznać swoje otoczenie. Niepewne światło kaganka, postawionego na gzymsie muru, oświetlało niewielką sklepioną celę, o jednem tylko małem, kratami zaopatrzonem oknie, w której oprócz posłania z na pół zgniłej słomy i dzbanka na wodę, nie było żadnego urządzenia. Naokoło niego, zapełniając całą celę, stało kilkanaście nędznych postaci, prawdziwych okazów ludzkiej niedoli, o wychudłych, bladych licach, zapadłych, błędnych oczach, z długiemi brodami, w brudnem, poszarpanem odzieniu. Jeden z pośród jego otoczenia przemówił doń po turecku. Z początku Achille nie mógł pojąć znaczenia jego słów, zebrawszy jednak całą swoją znajomość tureckiego języka i bacząc dokładnie na gesta derwisza, zrozumiał wkrótce, że miał swe życie spędzić w klasztorze tańczących mnichów i sam wejść w poczet tych błogosławionych sług Allaha i jego proroka.

Słysząc ten straszliwy wyrok, oniemiał młody artysta z przerażenia. Zdawało mu się, że świat cały z nim razem zapadł się w otchłań, że on już żyć przestał i tu jakieś widma zagrobowe przychodzą zakłócać mu spoczynek.

Usta jego poruszyły się, chciał coś powiedzieć, lecz jakaś niewidoma siła ściskała mu gardło, zapierała oddech i omdlały, upadł na podłogę.

Długo leżał tak Achille nieprzytomny, to w nieruchomem omdleniu, podobny do trupa, to znowu rzucając się i majacząc w szalonej gorączce a o głuche sklepienie jego celi odbijały się przysięgi miłości, okrzyk trwogi, dzikie przekleństwa i jęki rozpaczy. Gdy w końcu odzyskał przytomność, leżał jeszcze przez długi szereg dni w ciężkiej niemocy, sam jeden z puszczykami i nietoperzami, które gnieździły się w jego celi, ze swą boleścią i rozpaczą. Tylko dwa razy dziennie wchodził stary, pochylony derwisz, przynosił mu dzban wody i nieco gotowanego ryżu, a postawiwszy tę nędzną strawę obok jego posłania, oddalał się milczący jak przyszedł. Po długiej chorobie poczęły wreszcie młodzieńcze siły zwyciężać nad śmiercią i Achille przychodził powoli do zdrowia. Wtedy dopiero poczęły się właściwe katusze.

Wyprowadzano go codziennie z jego celi pomiędzy całą zgraję derwiszów, a przebrawszy go w brudny, poszarpany strój, jaki nosili jego towarzysze, poczęto go uczyć czytania koranu, ćwiczyć w różnych umartwieniach ciała, które tańczące mnichy winni na większą

chwałę Allaha sobie zadawać i zaprawiać go do świętego tańca.

Od pierwszej chwili gdy Achille ujrzał się w klasztorze tańczących derwiszów, zapanowała w jego umyśle zupełna apatja. Żadne plany ucieczki, żadna nadzieja wyswobodzenia nie oświecały ciemności jego niemej rozpaczy, żadna gwiazdka nie błysła na tem czarnem niebie. Nie miał on niezachwianej siły tych męskich umysłów, które chociaż zwalczone przemocą i zmuszone poddać się chwilowo pod jarzmo, nigdy nie porzucają swej przewodnej myśli, nigdy nie zapominają o swym idealnym celu i w tych ciągłych, choćby bezowocnych zapędach, znajdują przynajmniej otuchę i podnietę. Przeciwnie Achille przygnębiony do szczętu swoim okropnym losem, rozbiciem się najdroższych nadziei, właśnie w chwili, gdy były tak bliskie spełnienia, nie zdołał już podnieść swego ducha, nie śmiał nawet myśleć o pomocy i ratunku.

W poczuciu swej zupełnej bezbronności i niemocy, poddał się bez oporu pod jarzmo, bezmyślnie i machinalnie dawał ze sobą robić wszystko, co się jego dręczycielom podobało i tylko w samotnych chwilach, gdy siedział zamknięty w swej ponurej celi, popadał w głęboką zadumę. Ale nie było to dumanie roztropnego wodza, który układa plany bitew i liczy swoje zastępy, lecz bolesne rozpamiętywanie nad minionem bezpowrotnie szczęściem, utyskiwanie złamanego serca, które w bezowocnych żalach swe własne rodziera rany.

Tak mijał miesiąc po miesiącu, rok po roku; Achille już wątpił zupełnie o wszelkim możliwym ratunku i z tęsknotą wyczekiwał chwili, kiedy śmierć wyswobodzi go z tych cierpień. Tymczasem derwisze wyuczyli go z wszelką ścisłością przepisów koranu i swojej reguły klasztornej, zniewalali go do różnych umartwień i do świętego tańca, a biedny Achille musiał się oddawać tym ohydnym obrzędom, dopóki na pół nieżywy nie padał ze znużenia.

Czasami tylko w samotnej celi zabłysnął jakiś błogi uśmiech na jego schorzałych licach, a wówczas wzrok jego ulatał przez okienko celi daleko na południe, gdzie za pasmem ograniczających widnokrąg pagórków, leżał stary Carogród, lub drżąca ręka kreśliła węglem na ścianie niebiańskie linie tańczącej, pięknej jak zorza odaliski.

Już trzy lata minęły od owej tak nieszczęsnej dla niego nocy i nadszedł obfity w zdarzenia polityczny rok 1854. Ale żaden z tych wypadków, które wówczas światem wstrząsały, nie doszedł do samotnego klasztoru, który spokojnie jak za czasów pierwszych sułtanów stał niewzruszony na szczycie uroczego wzgórza.

Pewnego poranku owego roku, gdy właśnie wszyscy derwisze oddawali się świętemu tańcowi we wielkiej sali klasztoru, usłyszano nagle na podwórzu niezwykły ruch. Otwierano żelazne bramy, tętent kopyt końskich, głośne rozmowy, szczęk broni rozległ się pośród milczących murów. Te dźwięki nie zdołały jednak dotrzeć do ucha roznamiętnionych derwiszów. Jak gromada piekielnych duchów, do upiorów więcej niż do ludzi podobni, skakali oni i kręcili się w szerokiem kole. Pozapadane policzki pałały jak ogień, oczy zawrócone iskrzyły się i błyszczały, piana toczyła się z ust, a poszarpane odzienie unosiło się w powietrzu, jak węże nad głową bogini zemsty.

W tem z trzaskiem drzwi sali się rozwarły i weszło kilkunastu mężczyzn, po części w mundurach angielskich i francuzkich oficerów, po części w cywilnym europejskim stroju i zatrzymując się na środku, poczęli przypatrywać się tym dziwnym obrzędom.

Była to europejska komisja, która w r. 1854 z polecenia mocarstw miała zbadać stosunki i wszystkie urządzenia państwa otomańskiego, a mając upoważnienie do wchodzenia do wszystkich budynków państwowych, meczetów i innych zakładów religijnych, przybyła i tutaj, aby zwiedzić klasztor tańczących mnichów.

Zaledwie członkowie komisji weszli do sali, gdy jedna z tych nędznych, wychudłych postaci, które kręciły się przed ich oczyma, wyskoczyła z grona towarzyszy i padając ze znużenia u nóg komisji, zawołała przerywanym głosem w języku francuzkim: „Ratujcie mnie panowie, ja jestem Francuzem, trzymają mnie tutaj przemocą“.

VI.

Jeszcze tego samego dnia udało się staraniom komisji, nie bez oporu derwiszów i energicznego wystąpienia obecnych europejskich konzulów, uwolnić Achille'a z jego straszliwego więzienia.

Przebrany w strój europejski, na podanym koniu, wśród szemrania i przekleństw derwiszów, opuścił w towarzystwie członków komisji to miejsce, w którem przeżył trzy lata najstraszliwszych cierpień i niedoli. Gdy znowu zapadła za nim żelazna brama, przez którą wjechał owej nocy z zawiązanemi oczyma, gdy po raz pierwszy po tak długim czasie piersi wciągnęły świeże, wonne powietrze i oko wolne bujało po dalekim widnokręgu, zdawało mu się, że przeszłość była tylko jakąś straszliwą marą senną, z której teraz przebudził się do rzeczywistości. Z wolnością wstąpiło nowe życie w jego wynędzniałe ciało, nowa nadzieja w zwątpioną duszę, a jedna myśl, jedno pragnienie opanowało go przedewszystkiem, dowiedzieć się czem prędzej, co się działo z jego ukochanymi w Stambule, a mianowicie, jakie były losy Zuleiki.

Tej nocy, kiedy go schwytano u bramy haremu, sam powalony na ziemię i spętany w jednej chwili, nie mógł dojrzeć jak pojmano również i Zuleikę i wniesiono ją napowrót do domu Ibrahima. Całą duszą chwycił się zatem tej jednej nadziei, że ona zdołała umknąć wraz ze starą Greczynką, że ta ostatnia zna jej ukrycie i Zuleika nie na zawsze dlań straconą.

Nie mogąc poskromić swej niecierpliwości, odłączył się od członków komisji, a wypytawszy się dokładnie o drogę i podziękowawszy im za wszystko, co dla niego

uczynili, spiął konia i puścił się w szalonym pędzie wprost do Stambułu.

Bez wytchnienia i wypoczynku pędził przez góry i doliny; osłabiony zaledwie zdołał utrzymać się w siodle, biała piana padała z dzielnego konia, lecz ciągle, ciągle do szybszego biegu poganiał go szalony jeździec.

Już noc rozpostarła swe cienie nad Carogrodem, gdy młody malarz dotarł do pierwszych jego murów i przejechawszy przez znane mu dokładnie niezliczone ulice i uliczki, stanął przed domem, w którym mieszkał stryj jego i Berthier. Przybywszy tutaj zatrzymał konia i spojrzał w okna. Tylko na dole w pokoju Berthier'a świeciło się, lecz pospuszczane firanki nie dozwalały mu zajrzeć do wnętrza; okna pierwszego piętra, na którem niegdyś on ze swoim stryjem mieszkał, były zupełnie ciemne.

Na przeciwnej stronie ulicy leżał ogród Ibrahima, w nim meczet i dom z haremem, a ostatnie baszty i mury tego budynku sięgały aż nad morze; tam na lewo widział tę basztę, na której przeżył tyle chwil upojenia, a wprost na końcu ulicy błyszczał w swej czarownej nocnej szacie stary Bosfor.

Wszystko tak samo jak tej ostatniej nocy, którą widział w Stambule, a przecież jakaś tajemnicza siła wstrzymała go zsiąść z konia i zapukać do drzwi. Na całem ciele czuł gorączkowe drżenie, dziwna boleść i tęsknota ściskała go za serce i długo brakło mu odwagi podnieć zasłonę, która zakrywała jeszcze przed nim wszystko, co zaszło od jego pojmania. Po długim namyśle dopiero zdobył się na stanowczy krok. Zsiadł z konia, uwiązał go do klamry wbitej w murze i podniósł drżącą rękę, aby zapukać do drzwi. Po trzykroć to powtarzał i po trzykroć podniesiona ręka spadła bezwładnie. Dopiero za czwartym razem zapukał i drżąc z wzruszenia, oczekiwał skutku. Nie długo trwało, a wewnątrz dały się słyszeć kroki, klucz zaskrzypiał w zamku i przed nim stał Jan, stary towarzysz broni, a potem służący jego stryja.

— Jan — zawołał Achille -- Jan, czy ty mnie nie poznajesz? Co robi mój stryj? — i rzucił się w ramiona starego sługi.

Stary wiarus poznał natychmiast swego młodego pana, choć w tak wynędzniałym był stanie. Ze łzami w oku przycisnął go do piersi i długo, długo zwlekał z odpowiedzią.

— Cóż robi mój stryj? — zawołał ponownie Achille, ginąc z niecierpliwości.

— Mój pan już od dwóch lat nie żyje, umarł ze zmartwienia. Ja mieszkam tutaj z panem Berthierem, który także już zwątpił, że pana kiedyś zobaczymy.

Słysząc te słowa Achille nie był w stanie przemówić słowa. Oniemiały z bolu stał przez jakiś czas, spierając się na ramionach starego sługi, tylko strumień łez, który spływał po jego wybladłych licach, świadczył o żalu, który mu serce rozdzierał. Po chwili zebrawszy wszystkie swoje siły, zapanował nad sobą i puszczając wspierające go ramię, wszedł szybko do pokoju Berthier'a.

Na odgłos otwierających się drzwi, oglądnął się Berthier, lecz zrazu nie poznał swego nocnego gościa. Dopiero gdy Achille do niego przemówił, gdy rzucił się w jego objęcia, odgadł, kto w progi jego zawitał. Uścisnął serdecznie swego młodego przyjaciela, a łza wzruszenia, łza święta przeważająca strumienie łez bez treści, spłynęła po jego surowym i zwiędłym licu.

Zaledwie Achille dowiedział się szczegóły długiej choroby i zgonu swego stryja, zaledwie zdołał opowiedzieć swoje własne straszne losy, gdy pełen niepokoju zapytał o Zuleikę.

— Nic a nic nie wiem — odpowiedział Berthier. — Od tej nocy o tobie, o niej i o starej Greczynce nic nie słyszeliśmy i wszystkie nasze poszukiwania były bezowocne.

— Ja wiem gdzie mieszka Greczynka, chodźmy do niej — zawołał na to z zapałem Achille.

— Jakto, dzisiaj?

— Zaraz, w tej chwili — rzekł Achille powstając i biorąc za kapelusz.

Daremnie doradzał Berthier poczekać do jutra, prosił Achille'a, by miał wzgląd na swoje znużenie; młody artysta nie zdołał spocząć, dopóki nie dowiedział się o losach swojej ukochanej i tak długo prosił i namawiał, aż Berthier zgodził się na tę nocną wyprawę.

Puścili się więc w drogę.

— Jak gdyby myśl o Zuleice spotęgowała jego siły i zatarła wszystkie ślady znużenia i słabości, przebiegał Achille ulicę po ulicy z takim pospiechem, że jego towarzysz zaledwie zdołał dotrzymać mu kroku i napominał go kilkakrotnie, aby swoich nadwątlonych sił nie natężał.

Szybko przebyli nieskończoną ilość ciemnych, wązkich ulic, nieznanych zaułków, do których światło księżyca tylko ukradkiem, korzystając z pozostałej tu i owdzie luki między murami, dotrzeć mogło. Wszędzie panowała głucha, grobowa cisza; tylko gdzie niegdzie gromady psów żarły się o kawał ścierwa, lub za gęstemi kratami małego okna haremu, dał się słyszeć jakiś spóźniony dźwięk gitary lub smętny spiew kobiecy.

Nareszcie Achille zatrzymał się i oglądając za swoim towarzyszem, wszedł w długi, wąski i ciemny jak grób przesmyk pomiędzy domami, który w ogólnej ciemności byłby uszedł uwadze Berthier'a. Młody artysta jednak, oczywiście nie po raz pierwszy odbywał w nocy tę pielgrzymkę, bo z całą pewnością zapuszczał się w ciemności i uszedłszy tak kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się przed drzwiami małego, na pół zwalonego domku, którego dolne okno było jeszcze oświetlone.

— Jesteśmy u celu — rzekł drżącym głosem — jeszcze się u niej świeci, musiała nie dawno powrócić do domu.

Chciał zapukać, lecz drzwi nie były zamknięte i otworzyły się na oścież za dotknięciem ręką.

— Chodźmy, chodźmy — i pociągając Berthier'a

za sobą, wszedł do ciemnej zupełnie sionki, w której kilka promieni światła przeciskających się przez szparę po lewej stronie wchodu, zdradzały, że tam musiały się drugie drzwi znajdować. Achille otworzył i te drugie drzwi, lecz przerażony widokiem, który mu się tutaj przedstawiał, stanął nieruchomy na progu tego nędznego przybytku. Był to mały, niski pokoik, o jednem tylko okienku. Ciemno szare, wilgotne ściany, nie zdradzały już niczem, że niegdyś były pobielane; w całym pokoju nie było żadnego urządzenia, prócz jednego stołka, na którym stał dzbanek i palący się kaganek, a czerwony jego blask oświecał jaskrawo ostatnią scenę dramatu, odgrywającego się w kącie po prawej ręce od drzwi wchodowych.

Na nędznym barłogu ze zgniłej słomy i starych szmat, leżała tam jakaś postać, niby ironia na postać kobiety. Lica jej i członki okazywały tak niesłychaną chudość, że wyglądała jak kościotrup powleczony żółtą jak pergamin skórą. Oczy zapadłe w głębokich, czarnych dołach, zawracały się konwulsyjnie, błąkały po wszystkich kątach pokoju z wyrazem dzikiego bolu i niewypowiedzianych męczarni. Z omdlałych, sinych ust, wydobywał się od czasu do czasu dziki, zwierzęcy jęk, a wychudłe palce jak szpony drapieżnego zwierza, targały nędzne posłanie, na którem chora spoczywała.

Była to stara Greczynka, dawna powierniczka Achille'a, która leżała tutaj konająca, a u głów jej klęczał brodaty, grecki pop, odmawiając półgłosem różne modlitwy i formułki, aby uprosić od Najwyższego, lekkiego skonania dla umierającej.

W chwili, gdy nasi dwaj przyjaciele weszli, zwróciła chora swój wzrok w kierunku drzwi i wpatrywała się przez dłuższy czas w nocnych przybyszów. Naraz ten przymglony już wzrok zaiskrzył się na nowo; zużywając całą resztę swoich sił, podniosła się i wyciągając ramiona ku drzwiom, wydała dziwny, przeciągły wykrzyk radości.

— Chodźcie, chodźcie moi panowie — zawołała ochrypłym głosem — pomóżcie umrzeć waszej niewolnicy. Ja nie mogę umrzeć, bo wyście mi jeszcze nie przebaczyli,

— Co się stało z Zuleiką, mów, mów kobieto — zawołał Achille pełen trwogi, przystępując o kilka kroków bliżej.

— Powiem, powiem — jękła umierająca, — lecz mówcie mi pierwej, że przebaczycie... bo ja chcę umrzeć... ja nie mogę umrzeć... już dwie doby umieram... ach! —

Tu znowu dziwny, zwierzęcy jęk wydobył się z jej piersi i znużona upadła na posłanie.

— Przebaczymy, przebaczymy wszystko, tylko mów — rzekł Achille drżąc w przeczuciu czegoś okropnego i jakby nie ufając swoim siłom, oparł się plecyma o ścianę naprzeciw łoża umierającej.

— A więc słuchajcie panowie — rozpoczęła swoje opowiadanie cichym, chrypliwym głosem, przerywanym częstemi jękami — od chwili, gdy powierzyliście mi swoją tajemnicę, przemyśliwałam nad tem, jakby z tego jak największe wyciągnąć zyski. Gdy się nareszcie nadarzyła sposobność wykradnięcia Zuleiki, postanowiam was zdradzić, aby w ten sposób, oprócz waszej zapłaty, uzyskać równie hojną nagrodę od Ibrahima. Tej samej nocy, gdy z wami umówiłam plan wykradzenia i zapewniłam sobie waszą zapłatę, udałam się do Ibrahima i za cenę drugich 25 luidorów sprzedałam mu waszą tajemnicę. Ułożyłam się z nim, że następnej nocy pozornie poczynię wszystko, jak wam obiecałam i namówiwszy Zuleikę do ucieczki, wyjdę z nią tą bramą, przy której ty panie miałeś nas oczekiwać. Za bramą jednak czekali już w ukryciu zbrojni eunuchy, aby was pojmać i oddać w ręce Ibrahima. Ja to spełniłam, wszystko spełniłam, wzięłam waszych i Ibrahima 25 luidorów, a teraz nie mogę umrzeć, a luidory leżą tutaj pod słomą.

— Lecz co się stało ze Zuleiką, na miłość Boga? — zawołał Achille nie posiadając się z trwogi i rozdrażnienia.

— Zuleika nie żyje — odpowiedziała grobowym głosem. — Tej samej nocy sprowadzono ją przed oblicze Ibrahima. On ogłosił jej wyrok, któremu według przepisu koranu, podpadają niewierne Muzułmanki. Wszystkie jej prośby i łzy nie pomogły, związano jej ręce i nogi, włożono kłębek do ust, by nie wołała o pomoc i dwaj eunuchy zanieśli ją nad brzeg morza, włożyli do łodzi i popłynęli z nią daleko, na środek Bosforu. Tam włożono ją do worka, w którym było kilka ciężkich kamieni, zawiązano worek i wrzucono w morze. Przebaczenia! przebaczenia! to ja to wszystko zrobiłam! — jękła zrywając się umierająca i z wyciągniętemi ramionami, toczyła po nim dzikie wejrzenia agonji i bolu.

Lecz on już tych słów nie słyszał, nie widział tego wejrzenia. Stał nieruchomy jak posąg, opierając się o ścianę, lecz gdy usłyszał jaki los spotkał Zuleikę, zerwał się jak dziki zwierz i chwytając Berthier'a konwulsyjnie za ramię, zawołał: „Słyszałeś, słyszałeś, ona nie żyje! Utopiona w Bosforze!“ i wydając okropny krzyk w mgnieniu oka wypadł na ulicę i znikł w ciemnościach. Berthier wybiegł za nim, wołał, szukał, lecz nadaremnie; w ciemnych zaułkach zaginął wszelki ślad biednego Achille'a.

Wszystkie poszukiwania były bezowocne i Berthier już nigdy nie ujrzał swego młodego przyjaciela, ani nie słyszał o jego losach. Jedni mówili że utopił się w Bosforze, inni, że odpłynął jakimś statkiem do Francji, lecz pewnych wiadomości nikt podać nie zdołał.

W południowej Francji, o kilka mil na północ od Marsylji, leży w malowniczej okolicy obszerny i piękny gmach, otoczony wieńcem cienistych ogrodów. Jest to dom obłąkanych, utrzymywany kosztem państwa, w którym umieszczają takich umysłowo chorych, których lekarze uznali za nieuleczalnych.

Osobom zwiedzającym ten zakład przed rokiem 1860, wpadał w oko młody pacjent o bladej, wązkiej twarzy i dziwnie wymownych, ciemnych oczach, w których można było wyczytać ciężkie cierpienia i przygnębiającą melancholję. Ten chory nigdy nie mówił, nigdy na pytania nie odpowiadał i po całych dniach chodził zadumany, albo też kreślił wprawną ręką na ścianach sali, na ławach i stołach, a nawet na piaskiem wysypanych ulicach parku cudne kształty młodej, tańczącej odaliski. Na zapytanie ciekawych gości, odpowiadał oprowadzający ich po zakładzie dozorca, że to był młody malarz, Achille Delarive.

K O N I E C.

ZAPYTANIE.

Najnowsza Sielanka Ebersa.

(Ciąg dalszy).

Dziwnie wyglądał Mopsus, chłopak silny, dorodny i barczysty, z tą płaczliwą skargą na ustach. Istotnie miał łzy w oczach, gdy zaczął opowiadać Jasonowi o kuglarzu, tańcu, gniewie wściekłym Semestry, wypędzeniu jego z domu Lysandra i o poleceniu ostatniej, aby prosię odstawił do świątyni Aphrodity.

Jason pół uchem tylko słuchał opowiadania, gdyż stokroć więcej go interesowało lekkie pokrząkiwanie, które po lewej stronie osła z kosza wychodziło, słuch jego łechcąc przyjemnie.

Znał on sposób odzywania się każdego zwierzęcia domowego i wiedział, iż tak wesoło mruczy tylko prosiątko tłuste i z bytu swojego zupełnie zadowolone.

Myśl wielka strzeliła mu do głowy, a musiał się nią niesłychanie uradować, gdyż oczy mu ogniem młodzieńczym błysnęły, usta zaszpicował figlarnie, poświstując wesoło, jednym słowem: wyglądał zupełnie na Satyra, śmiejącego się i zbliżającego usta szerokie do grona najsłodszego i najdoźralszego w całej winnicy.

Gdy Mopsus skończył, spostrzegł z przykrością, jak zupełnie inne wrażenie, niż się spodziewał, wywarło na starego smutne jego opowiadanie, ale wkrótce i on śmiać się zaczął wesoło, gdyż zanim miał czas okazać starcowi swoje niezadowolenie, ten wyjął z kosza po lewej stronie osła wystrojone prosię Semestry, natomiast włożył swoje własne, i drwiąco zawołał:

— Po tej krzywdzie, jaką tobie biedny chłopcze wyrządziła, stara nie warta łaski bogini. Pozwól mi zaofiarować cudnej Kypris, to najmilsze ze wszystkich prosiątek, a moje oddaj jej na ofiarę w starej imieniu; wtedy prośba Semestry, z pewnością nie będzie wysłuchaną.

Mopsus uszczęśliwiony, roześmiał się znowu od ucha do ucha, uderzył pięścią w dłoń lewą, a wykręcając się na pięcie krzyknął w uniesieniu:

— Oj! to, to będzie doskonale!

Za chwilę jednak zamyślił się głęboko, pocierając ręką wzdłuż pleców, jakby tam czuł już spadającą szybko i z naciskiem należytym, pewną laskę mirtową:

— A jeżeli spostrzeże się stara? — szepnął zafrasowany.

— Nie bój się, wiem już jak zrobimy — odrzucił Jason; dał prosię w ręce Mopsusowi i pozdejmował wstążki z uszek i z ogonka zakręconego figlarnie.

Prosię kwiczało żałośnie przy tej operacji, jakby rozumiało, iż je rabują ze stroju i własność odbierają, piękność jego na szwank przez to narażając.

Gdy Jason następnie własne prosię we wstążki ustroił, nie przybyło temuż urody, i nic dumniej nie wyglądało, gdyż było to biedne, zamorzone stworzenie, nieczułe na wszelkie dary i nierozumiejące się na pięknych strojach. Miska pełna, byłaby mu stokroć przyjemniejszą, od wstążek różnobarwnych.

WYCIECZKA NAD MORZE.

Podczas gdy kapłan Aphrodity, przyjmował prosiątko z rąk Jasona, unosząc się nad tego pięknością i obiecując natychmiast zabić go na ofiarę, co do tego zaś drugiego oświadczył z góry, iż go przyjmuje tylko z poszanowania dla dającej, która zwykle okazywała się hojniejszą w darach swoich, ale że za dobry skutek ofiary nie ręczy, Xantha wychodziła właśnie z domu ojca swojego.

Ustrojoną była w suknie odświętne i włos złoty staranniej niż zwykle utrefiła, przyczem nie nad jednem przemyśliwała. Dziewczęta zwykle najchętniej dumają, gdy w krosnach tkają, lub haftują, przy warczeniu kołowrotka, lub przed zwierciadłem, gdy włosy trefią.

Semestra tuż za nią pospieszała, a wtykając w rękę mały nożyk, rzekła:

— Wypada wieńcem z kwiatów, drzwi na przyjęcie gościa miłego ozdobić. Krzaki teraz róż pełne, idźże i natnij ich tyle, aby można uwić piękny wieniec, wybieraj atoli same czerwone i żółte, a omijaj białe, bo te szczęścia nie przynoszą. Najpełniejsze znajdziesz obok ławki nad morzem.

— Wiem, już wiem!

— Ależ czekaj, i wysłuchaj mnie do końca.

— I cóż tedy?

— Powietrze przecudowne, w nocy wietrzyk lekki wiał od północy, może więc zdarzyć się łatwo, iż okręt z Messeny, jeszcze przed południem u nas wyląduje.

— Toż pozwól mi właśnie pójść w tę stronę.

— Dobrze, dobrze, tylkoż na żagle uważaj, a gdy nasze zobaczysz, bieguij czemprędzej i wypraw po mnie Chloris, bo ja muszę świątynię Kypris odwiedzić.

— Ty? — spytała śmiejąc się Xantha.

— Ja sama, a tobie wcale drwić z tego nieprzystoi, raczej powinnabyś mi towarzyszeć.

— Nie! Idę ciąć róże.

Słowa te były wymówione tonem, który dobrze był znanym Semestrze.

Skoro Xantha tego stanowczego tonu użyła, z pewnością na swojem postawiła; Semestra atoli, która inaczej nigdy przyznać nie chciała, aby słuch jej z latami, miał cokolwiek stracić ze swojej pierwotnej doskonałości, w takich razach, godność swoją ratując, chętnie głuchotę udawała, aby uniknąć starcia niemiłego.

Dziś szczególniej wystrzegała się, aby niczem nie dotknąć dość drażliwej młodej dziewczyny, odrzekła też najłagodniej:

— Coś ty powiedziała? Nie dosłyszałam. A może by i lepiej było, żebyś prosto ztąd poszła róże zbierać moja gołąbko? Spiesz się tylko, bo okręt, za którym masz się oglądać, niesie szczęście twoje. Jak też wyglądają stroje, które wiezie w darze dla ciebie Leonax?

Coś podobnego z pewnością jeszcześmy w życiu nie oglądały. I o mnie biedaczce w Messenie nie zapomniano, Mopsus przebąkiwał coś o stroju dla matron poważnych przeznaczonym. Ma to być... jest może?... no, zresztą, zobaczymy!

Chichocąc i niby zawstydzona, spuściła w dół oczy, napomniawszy Xanthę raz jeszcze, aby zaraz po nią posłała, skoro by okręt z Messeny ukazał się na widnokręgu. Następnie, oparta na kiju mirtowym, podreptała w stronę świątyni.

Xantha nie od razu udała się nad morze; wprzód zbliżyła się do domu stryja swojego, aby tam Phaona odszukać.

Gdy Phaona nie odszukała ani w stajniach, ani w długim szpalerze, utworzonym przed domem z drzew figowych, prędko zawróciła, tłumiąc w sobie przez dumę chęć szczerą, zawołania tegoż.

Na drodze, ku morzu prowadzącej, spotkała najprzód owego barczystego niewolnika jej stryja.

Zatrzymała go, o Phaona wypytując.

Semestra nie skłamała. Phaon dotąd nie wrócił z nocnej wycieczki, a już od dni kilku, nie wracał nigdy do domu przed wschodem słońca.

Nie, on nie był człowiekiem, który mógł by być podporą jej ojca starości. O bogatą dziedziczkę, nie znając jej, ubiegają się, a ten tymczasem o wszystkiem zapomina, w towarzystwie rozpustnych towarzyszy, i dziewcząt lada jakich.

Ta myśl tak jej była bolesną, iż najchętniej, byłaby znowu, jak wtedy przy źródle płaczem wybuchnęła.

Stłumiła jednak łzy, i żadna oka jej nie zwilżyła, ale zdawało się biednej, że serce jej ma oczy, i z nich w tej chwili krwawe łzy się leją.

Nóż w ręku trzymany, przypomniał jej zadanie, które spełnić miała; przykazano jej róż naciąć, i patrzyć, czy nie płynie okręt jej stryja z Messeny.

Jeżeli Leonax podobny do tego, jak jej go Semestra opisała, nie odeszle go z niczem, jak dotąd wszystkich ubiegających się o jej rękę odsyłała, z uśmiechem na drobnych usteczkach.

Tak, zostanie jego żoną, nie tylko aby ojcu dogodzić, ale głównie aby ukarać Phaona.

Gorycz, ból, jakiego dotąd nie znała, uczuła w sercu po tem postanowieniu.

Zamiast ku morzu, zatopiona w myślach, które jej duszę tak boleśnie dręczyły, szła, sama o tem nie wiedząc, w stronę wręcz przeciwną, ku wielkiej bramie, na drogę murowaną prowadzącej.

Tu się znalazłszy znowu, przypomniał jej się cel wyjścia z domu, nazad za tem nawróciła, gdy w tem kuglarz, który w cieniu bramy pod płotem, wraz z swoim wózkiem wypoczywał, drogę jej zastąpił:

— Słuchasz mojej rady, piękna Xantho — przemówił — i idziesz zamyślona jakby jeden z Sophistów.

— A więc nie powinienbyś mi przeszkadzać! — dziewczę zawołało dumnie głowę podnosząc.

— Daruj, jeżelim śmiał to uczynić — odrzekł karzeł — ale chciałem ci powiedzieć, iż może by się pomoc dla twojego ojca znalazła. W mojem mieście rodzinnem..

— A gdzież ta twoja ojczyzna?

— W Messenie.

— W Messenie? — przerwała Xantha żywo.

— Tam — dokończył kuglarz — żyje lekarz biegły nadzwyczaj.

— Żaden z nich dotąd ojcu nie pomógł!

— Może by ten jednak?...

— To chodź, i rozmów się z ojcem.

— Boję się tej starej jędzy, która u was zdaje się rozkazywać.

— Wyszła teraz, znajdziesz więc ojca samego.

— Dobrze, pójdę do niego.

— Mowiłeś, iż jesteś z Messeny?

— Tam się urodziłem.

— Czy znasz mojego stryja Alkiphrona?

— Któżby nie znał właściciela największej ilości okrętów w porcie naszym!

— A jego syna Leonaxa?

— I tego często widuję, gdyż moja chata, stoi nad samym portem, dokąd zawijają statki stryja twojego, a ten młodzieniec zawsze pilnuje ładowania, i nie zejdzie z pokładu, póki ostatniego światełka nie zgaszą. Jeżeli kto, to on, może nazwać się pieszczochem losu, dzieckiem szczęścia, i należy do tych, którzy takim jak ja biedakom, to i tak nędzne życie, do reszty zatruwają i zmuszają nasze usta do śmiechu gorzkiego, gdy kto zacznie rozprawiać o sprawiedliwości Bóstw w Olimpie.

— Bluźnisz!

— Nie, ale mam śmiałość mówić to, o czem inni myślą tylko.

— I tyś przecie kiedyś był młodym!

— Ale byłem karłem, a on wzrostem równy Achillesowi; byłem wiecznie żebrakiem, a on nie wie gdzie pieniądze podziewać; odemnie stroniły dziewczęta, tak właśnie, jak lgną do niego; mnie zebrano z ulicy, porzuconego bezsilnem niemowlęciem, nad nim dotąd, choć już wszedł niemal w lata męża, czuwa oko ojca troskliwego, zcałowują usta matki najprzywiązańszej każdą troskę z czoła. Ale ja mu nie zazdroszczę, bo kto sierotą na świat przyjdzie, temu przynajmniej oszczędzą się boleści, zostać nim w życiu późniejszem.

— Jakże gorzkiemi są twoje słowa!

— Kogo wiecznie bito, ten śmiać się oduczył.

— A więc jednak zazdrościsz szczęścia Leonaxowi?

— Nie, bo choć mam do skargi na los srogi powody najsłuszniejsze, nie zazdroszczę nawet żadnemu królowi, gdyż mogę tylko wiedzieć, co się dzieje w sercu jednego człowieka, a ten jeden stoi właśnie przed tobą.

— Złorzeczysz losowi, a jednak przypuszczasz, iż moglibyśmy więcej cierpić od ciebie.

— Dobrześ myśl moją pojęła.

— Powiedz więc sobie, iż jesteś szczęśliwszy od wielu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.